

Dr hab. Małgorzata Jacyno: Bez wspólnoty wszystko boli

Promuje się dziś jednostkę, która woli szukać wskazówek życiowych w poradnikach, niż u drugiego człowieka – dr hab. Małgorzata Jacyno w rozmowie z Marcinem Darmasem w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Infantylicyzacja kultury.

Marcin Darmas (Teologia Polityczna): Pani Profesor, czy zgodzi się Pani uczestniczyć w mało reprezentatywnym badaniu socjologicznym?

dr hab. Małgorzata Jacyno (Instytut Socjologii UW): Bardzo chętnie.

Porównajmy nasze breloczki. Na kluczach samochodu mojej żony jest przypięta pluszowa sowa koloru fioletowego. A na Pani kluczach?

Nie mam breloczka. Kiedyś miałam taki z wizerunkiem świętego Benedykta, ale się zerwał...

Czyli nie jest Pani ofiarą kulturowej infantylicyzacji?

Widzę, że Pana rozczarowałam. Chociaż gdybyśmy dobrze poszukali z pewnością porównywalny artefakt znalazłby się i u mnie. Wie Pan, ja do rzeczy podchodzę niezwykle funkcjonalnie, kupuję jedynie takie rzeczy, które mogą mi się przydać.

Czy widzi Pani związek między indywidualizmem, a infantyлизacją współczesnej kultury?

Nie. Choć to zależy, o jakiej kulturze mówimy. Kultura to praktyki codzienności. Jest też kultura tworzona przez elity, mam na myśli na przykład środowiska związane z dizajnem. Gdy mówimy o kulturze infanlynej albo infanlyzującej, trzeba zadać zrazu pytanie: kto ją tworzy i kto jest jej adresatem? Właśnie w tym kontekście pojawia się kwestia związana z centrum i peryferiami, czyli relację między Polską a „Zachodem”. Mam na myśli również to, że relacje zależności, chronicznego podporządkowania Polski mocno się utrwały. Jeśli zajrzeć do dokumentów i wypowiedzi o politykach kulturalnych. Twórcy dokumentów i autorzy tych tekstów nieustannie *wyobrażają* sobie, czego chcą inni? Jakiej kultury potrzebują i chcą peryferie? I co, w związku z tym, należy im *dostarczyć*? Jak Pan widzi, już na początku naszej rozmowy pojawia się mnóstwo pytań. A mnie korci, żeby panu zadać pytanie: jak Pan pojmuje infanlyzację kultury?

Barber widzi związek między *człowiekiem hipermarketu*, konsumentem, a infanlyzacją. Wzory konsumenckie wymuszają *tymczasowość*, podążanie za krótkotrwałą modą. Stajemy się

takim rozwydrzonym bachorem... Poza tym to, co konsumujemy coraz bardziej przypomina świat dziecka. We współczesnej pornografii chociażby, rekordy popularności biją tzw. „mamuśki”.

To, o czym pan mówi, o wiele mniej mnie niepokoi, niż to, co sobie wyobrażałam. Mnie się infantylizacja kojarzy z rozwijaniem dyskursu wyższościowego. Mówienie: „wy jesteście zanurzeni w kulturze infantylnej, tylko o tym nie wiecie. My wam teraz pokażemy, gdzie wasze miejsce”. Pan mówi raczej o innym zjawisku, które było diagnozowane w latach siedemdziesiątych. Mam na myśli zwłaszcza diagnozy postawione w dyskursie terapeutycznym. Do tego problemu odnosił się Christopher Lasch. Ta krytyka z pozycji konserwatywnej w wielu momentach okazała się niezwykle trafna. Lasch, przykładowo, pisze, że po kontrkulturze studenci zaczęli się domagać, żeby uniwersytet był „bliżej życia”. Oto postulat, wydawałoby się, całkiem rzeczowy. I trudno z nim polemizować. W istocie oznaczało to, że pojawiło się dużo zajęć praktycznych, czyli takich, które, przepraszam bardzo, można przeprowadzać w ramach zajęciowych terapii grupowych. Ja bym jednak aktualnych obszarów infantylizacji upatrywała gdzie indziej. Trzeba by było się na przykład zastanowić nad tym, jakie warunki społeczne sprawiają, że trudno jest wyjść z relacji rodzinnych?

Dzieci coraz później opuszczają gniazdo rodzinne, właśnie ze względów ekonomicznych. Prym wiodą takie kraje jak Hiszpania, Włochy i Grecja, gdzie dzieci zostają w domu rodzinnym średnio do 30-35 roku życia!

Kilka lat temu w prasie francuskiej czytałam, że rodziny poświęcają jeden pokój w domu, który coraz częściej przerabiany jest na niezależną kawalerkę: z lodówką, telewizorem, oddzielnym sprzętem...

Całkowicie zmienia nam się społeczeństwo.

Tak. Jest w tym coś szalenie paradoksalnego. W tym apelu, aby się stać się przedsiębiorczym i samodzielny z jednej strony. A z drugiej, mamy szeroką ofertę poradników terapeutycznych zawierających szczegółowe, drobiazgowo wskazówki, jak radzić sobie z życiem!

A jednak wracamy do punktu wyjścia naszej rozmowy. Kultura indywidualna, w której żyjemy tworzy „duże dzieci” nie radzące sobie z życiową praktyką.

Z jednej strony mamy stale już obecną groźbę pojawienia się „czarnego łabędzia” i zanikanie gwarancji państwowych. Z drugiej zaś, kryzys kulturowy, o którym pisał w odniesieniu do początku wieku XX Eric Santner. Promuje się wizję jednostki wielkiej, wspaniałej i wszechmogącej, a jednocześnie elementem i warunkiem tej wielkości uczyniono wyrzeczenie się holistycznych odniesień, czyli odruchów wspólnotowych. Odniesienia te są opisywane jako zagrażające jednostce. Także związek miłosny, w tej optyce, również jest groźny, bo zmusza do zawierania kompromisów, ograniczenia własnych ambicji, rezygnacji z relacji z innymi ludźmi. Inaczej mówiąc, promuje się dziś jednostkę, która woli szukać wskazówek życiowych w poradnikach, niż u drugiego człowieka. Żywym, współczesnym mitem jest jednostka

samorodna, która jest i swoim ojcem, i swoją matką. Pamiętam poradnik, który cieszył się olbrzymią popularnością, a mówił, jak siebie „wyzerować”, jak doprowadzić, za pomocą procesu myślowego i prostych ćwiczeń asertywności, do wyrugowania wpływów wszystkich, których się spotkało na swojej drodze życiowej - matki, ojca, zaborczych i szantażujących emocjonalnie znajomych, prowincjonalnego, lokalnego kontekstu kulturowego czy narodu. Wtedy, po takim gruntownym samooczyszczeniu się, w myśl poradnika, zaczyna się prawdziwe, własne, autorskie i warte przeżycia życie. Rzeczywistość, społeczność, związki jawią się jako inwazyjni uzurpatorzy. Tymczasem bez zewnętrznego wsparcia, jednostka pozostawiona samej sobie, pozbawiona jest również obron. Przypomina się w tym miejscu ważna teza książki Marka Seltzera „Serial Killers. Death and Life in America's Wound Culture”. Bez momentu znalezienia w sobie traumy rozumianej jako atak bliźnich i jako jedyna silna i pewna więź z innymi, trudno jest dzisiaj ludziom określić swoją tożsamość.

Pozostawiony jak dziecko samemu sobie...

Bez odniesień symbolicznych, bez wspólnoty wszystko boli i każde wydarzenie niesie niepokój. Znoszenie bólu i cierpienia jest możliwe dzięki solidarności. Rozumienie doświadczenia wymaga dzielenia znaczeń i doświadczeń. Dzielenie zaś oznacza konieczność kompromisu, zgody na to, że podobieństwo i wspólnota naszych losów ma pierwszeństwo i przeważa nad poczuciem własnej wyjątkowości i niepowtarzalności. Brak tych symbolicznych odniesień skłania do poszukiwania oparcia w czymś materialnym, w jakiejś dosłowności. Właśnie dlatego wcześniej odwoływałam się do Santnera, który

zapowiedź rozpadu tej wiary w coś zewnętrznego widział w rozmaitych jakościach biologizujących i materializujących „odniesienie” – ziemia, krew czy rasa.

Człowiek, który ma poczucie, że niejako wyrasta sam z siebie, ze swoich myśli i domysłów, jakie ataki ze strony bliźnich mu zagrażają, naraża się na to, że ciągle będzie czuł niedającą się poskromić niepewność i nieznośny ból. Możliwość współbycia z innymi zakłada konieczność dokonywania ciągłych „idealizacji” – założenia o wzajemnym podobieństwie i możliwości pokojowego współistnienia. To jest właśnie ta niezbędna abstrakcja, jaką trzeba wnieść w konkretne relacje z innymi ludźmi. Bez tego jesteśmy skazani na poszukiwanie dosłownej ochrony i przymus ciągłego relacjonowania innym swoich stanów i odczuć. Każda nieadekwatna, niedopasowana do nastroju reakcja jest wówczas odbierana jako atak właśnie czy brak empatii, które muszą być zrównoważone kolejnymi ćwiczeniami wzmacniającymi asertywność. Skądinąd to zastanawiające, że są tylko warsztaty wzmacniania i rozwijania asertywności, a nie ma oferty dla tych, którzy chcieliby trochę zrezygnować ze swojej asertywności.

Michel Houellebecq w „Możliwości Wyspy” pisze, że współczesne społeczeństwa tolerują najgorsze perwersje, a jednocześnie odrzucają „starzenie się”. Pisarz nawet dodaje, że „nie wolno być dzisiaj starym”.

Zgoda. Programy, które proponuje się dzisiejszym „seniorom” są infantylne. Cały ten dyskurs, mówiąc poprawnie, „senioralny” ma ostatecznie w odczuciach większości coś, co może ośmieszać starość. Każe się wypróbować, przymierzać starym ludziom tożsamości,

których samych by sobie nie wymyślili, bo w istocie są programami odmładzania: jazda w skórze na motocyklu, kursy egzotycznych tańców, podczas gdy starzy ludzie zawsze byli aktywni – karmili podwórkowe koty, doglądali wspólne podwórka, wyglądali przybycia listonosza i odbierali sąsiadom przesyłki, czyli robili to wszystko, co składa się na tzw. kapitał społeczny, który podobno jest w zaniku. Tymczasem programy, które się im dziś dedykują nie tylko degradują niegdysiejsze zaangażowania, ale są też programami na chwilę, tymczasowymi. Potem uczestników „projektów aktywizujących” się zostawia z niczym, ewentualnie z poczuciem, że są nieaktywni. Najwięcej korzystają na nich ci, którzy wnioskuje o granty na aktywizowanie seniorów. Programy, o których mówimy, mają ponadto charakter doraźnych interwencji, trwają góra miesiąc, potem znikają, bo brakuje na kontynuację pieniędzy. Proszę zwrócić uwagę, że właśnie te programy są mocno dydaktyczne. Dydaktyzm zaś to istota kultury infantyilizującej. Autorzy programów dla seniorów wiedzą najlepiej, czym jest aktywność i, że najlepiej byłoby, aby była to taka aktywność, jak w krajach zachodnich. Nie ma pewności, że jeśli jakiś wzór sprawdził się w danej kulturze, to bezproblemowo da się go importować i zasymilować w innej.

Czy widzi Pani Profesor związek między kulturą powiedziałybym „zgrywy”, kulturą „drwiny” a infantyilizacją?

Powiedziałabym inaczej. Żyjemy w epoce kultury ironistów. Ironista nic czy niewiele proponuje. Jego atutem jest bez wątpienia dystans, ale wykorzystuje go często do tego, by pokazać i udowodnić innym, że wspólnota i bycie z innymi są niewiele warte. Komentarze ironistów rzadko kiedy mogą być pomocne w tym, jak się zmienić, co zrobić, by wspólne życie było lepsze. Ironiści w swoich zazwyczaj celnych

komentarzach częściej chyba osiągają inny efekt: przekonują, że bycie razem jest niebezpieczne, bo najlepiej spędzony wspólnie czas można wykpić i wyszydzić.

dr hab. Małgorzata Jacyno

Instytut Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego